

Łubiński, Sławomir

Przyszło nas tu czterech

Przegląd Pruszkowski nr 1, 46-56

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Sławomir Łubiński urodził się w Warszawie w 1934 roku, świadectwo dojrzałości otrzymał w roku 1953 w liceum ogólnokształcącym im. Tomasza Zana w Pruszkowie.

Podjął studia na filologii polskiej – niestety, nie ukończył ich. Pisanie jednak było i jest jego pasją.

Pełniąc służbę w wojsku zadebiutował w roku 1956, drukując swoje wiersze w gazecie Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Wiersze jego ukazywały się w pismach, między innymi w Almanachu Młodych. W roku 1979 w Państwowym Instytucie Wydawniczym ukazała się jego powieść „Ballada o Januszku”. Autor dokonał scenicznej adaptacji książki. Adaptacja ta doczekała się ponad stu przedstawień, w rolach głównych grali: Ryszarda Hanin i Henryk Talar. Książka doczekała się nie tylko pięciu wydań w Polsce, ale przetłumaczona została na pięć języków. W oparciu o „Balladę o Januszku” powstał ośmiogodzinny serial TV w reżyserii Henryka Bielskiego. Główną bohaterkę zagrała znakomita aktorka rosyjska Lidia Fiedosiejewa-Szucszyzna – za tę rolę przyznano jej w roku 1988 Złoty Ekran.

W roku 1984 ukazała się w nakładem PIW kolejna powieść „Profesjonaliści” – w 2005 roku w Wydawnictwie Adam Marszałek wyszła powieść pt. „Jak kulawy ze ślepą”.

Jest autorem sztuki „Zwykły dzień pewnego lata” (prapremiera w 1988 r. w Teatrze Wybrzeża).

Sławek jest autorem scenariuszy do filmów dokumentalnych i do telewizyjnego filmu fabularnego „Z soboty na poniedziałek”.

Ostatni tomik jego wierszy to „Przeleciał czarny ptak”

Jest autorem wielu krótkich opowiadań. Jedno z nich, ostatnio napisane, drukujemy poniżej.

Sławomir Łubiński

Przyszło nas tu czterech

Podeszliśmy na kilkadziesiąt metrów do Grubej Berty i stop, bo dalej nie było można i były już pola. Przed nami połyskiwały szyny, po których – poza transportami wojskowymi oraz zesta-

wem potężnych lor z umieszczonym na nich tym ogromnym, kolejowym działem – nie jeździły już dalekobieżne pociągi. Wzdłuż torów, oddzielone wysypaną żużlem drogą, ciągnęły się domy i domki oraz ogrody. Dzień, choć słoneczny, był dosyć chłodny. W nocy padał deszcz, nad ranem spadł grad, który długo, aż do białego dnia, topniał w przeróżnych zakamarkach.

Przyszło nas tutaj czterech. Leon, Szczurzy Pysk, ja i Grzesiek, zwany Gipsowym. Grzesiek jest starszy od nas. Do niedawna handlował ołowianymi żołnierzami, które sam odlewał w gipsowych formach. Siadamy pod płotem, tuż za rogiem poprzecznej ulicy. Miejsca jest dosyć, załoga Berty nie widzi nas, my natomiast w każdej chwili możemy ich obserwować. Gipsowy chce grać w karty ale żaden z nas nie ma pieniędzy. Dobrze więc, że Leon wziął ten duży scyzoryk, który ukradł Niemcom. Gipsowy jest wyraźnie zirytowany i nie może być inny, gdyż wszystko co robi, chce robić za pieniądze. Jest drobny, piegowaty, wiecznie niedomyty i na pierwszy rzut oka, wcale się od nas nie różni. Głos też ma ciągle chłopięcy i czasem tylko z jego gardła wydobywa się chrypliwy bas. Ojciec Gipsowego zginął w Oświęcimiu wywieziony jednym z pierwszych transportów. Gipsowy ma dwoje rodzeństwa, niezbyt zdrową matkę, która zajmuje się szmuglem. Jeszcze więcej rodzeństwa, bo aż czworo, ma Szczurzy Pysk. Jego ojciec żyje, a cała rodzina gnieździ się w jednej izbie w starym, rozwalającym się drewniak. Ojciec Szczurzego Pyska rozwozi do bimbrowni zawieszane na rozklekotanym rowerze bańki z melasą, nazywa się Cietrzew Feliks, ale wszyscy wołają na niego Kiepurą. Dlatego że kiedy upije się, to podczas uciążliwej wędrówki do domu wyśpiewuje na całe gardło.

Ustalamy, że będziemy grać trzy klasy zwykłe, jedną mistrzowską i jedną bez skuski. Nie gramy na pieniądze więc ten, który zajmie ostatnie miejsce otrzyma od każdego kopa w tyłek. Teraz już rozsiadamy się kołem i z pola gry zbieramy wszystko, co może przeszkodzić wbiciu się noża.

Po przeciwległej stronie ulicy rozdzieleni niskim płotem, stoją mężczyzna i kobieta. Mężczyzna co parę chwil wyciąga z kieszeni zegarek na długiej dewizce.

– Ze trzy tysiące ich ładowało na spadochronach w Kampinosie – mówi kobieta.

– Nie wierzę – odpowiada mężczyzna.

– Dzisiejszej nocy to było. Wiadomość na mur.

Gipsowy trącił mnie w ramię.

– Ty, co z tobą? Grasz, czy się opecyndalas?

Zaraz.

– Desantu nie było i nie będzie. Grasz, albo kopy w tyłek.

– Graj, Paweł – zniecierpliwiał się Leon.

Warkot nisko sunących samolotów zagłuszył wszystko. Obładowane bombami stukasy leciały nad Warszawę.

– Graj! – wrzasnął mi w ucho Gipsowy – orientuj się!

Zacząłem grać. Pierwsza klasa poszła mi dobrze. W drugiej skusiłem na łokietku.

– Lepiej ci idzie w klipę – zakpił Szczurzy Pysk.

Dałem mu nóż.

Warkot sztukasów oddalił się. Zrobiło się ciszej.

Szczurzy Pysk aż wysunął z wrażenia język. Szło mu dobrze.

– Pani Złotowska – powiedział mężczyzna – już chyba czas.

– A wiele jest jeszcze, panie Łączyński?

Mężczyzna wyciągnął zegarek.

– Cztery minuty. O... nawet mniej.

Kobieta machnęła ręką i zaczęła znikać w głębi ulicy. Szła szybko, a właściwie to biegła krótkim, świńskim truchtem. Jej spódnica wzdymała się od tego biegu jak sztandar.

Szczurzy Pysk był już w trzeciej klasie, przy piątce. Wciąż bez skutki.

– Skuś baba na dziada! – wrzasnąłem.

I Szczurzy Pysk skusił. Przy ramiączku nóż upadł płasko i nie wbił się w ziemię.

– Oliwa sprawiedliwa zawsze na wierzch wyliwa – stwierdziłem.

– Załatwię cię i tak – odparł ze złością.

Leon uważnie rozglądał się dookoła. Zobaczył, że ten mężczyzna umyka do domu.

– Koniec gry – powiedział – idziemy!

Gipsowy schował scyzoryk do kieszeni. Leon chwycił go za rękę.

– Dawaj nóż!

– Jaki nóż?

– Wariat jesteś Ten co masz w kieszeni.

Gipsowy uśmiechnął się pogardliwie i oddał scyzoryk.

– Myśli, że połaszczylem się. Ja takich noży mogę mieć na pięczki.

Wyszliśmy z naszego zaułka. Dopiero teraz poczułem, że jestem zdenerwowany. Ale i oni też się denerwowali. A już najbardziej Szczurzy Pysk, który akurat na mnie musiał pchać się całym ciałem. Odepchnąłem go od siebie.

– Ślepy jesteś, albo ja ze szkła! – krzyknąłem.

Cała ta położona wzdłuż linii kolejowej ulica była pusta. Tylko w oddali, przypalikowana niedaleko torów, pasła się krowa. Wielkie cielsko Berty wznosiło się złowrogo do góry. Wokół niej nie było nikogo. Nikogo też nie było obok stojącego nieco z tyłu, przysadzistego jak żaba, wagonu pancernego.

– Otwórzcie usta – powiedział Gipsowy.

Nie pamiętam czy zdążyłem to zrobić i czy w ogóle ktokolwiek z nas zdążył to zrobić, gdy nagle tak huknęło, że poczułem jak odrzuca mnie w tył, a ziemia pod nogami kołysze się i tańczy. Zaczęliśmy coś mówić, ale nie słyszeliśmy się nawzajem. Z wagonu pancernego wyszło kilku żołnierzy. Lufa Berty powoli zjeżdżała w dół. Jeden z żołnierzy odwrócił się i zaczął patrzeć w naszą stronę.

– Trefnie jest! – wrzasnął Gipsowy. – Kikuje tu!

Schowaliśmy się i znów usiedliśmy kołem, lecz teraz wszystko było inaczej. Leon nie wydobył nawet scyzoryka, bo tylko Gipsowemu chciało się dalej grać. Szczurzy Pysk wpatrywał się

gdzieś tymi swoimi bladymi oczami. Wciąż pachniał prochowy dym. Gipsowy ziewał i wyglądało na to, że się nudzi. Leon żuł żdźbła trawy i strzykał zieloną śliną. Mężczyzna obserwator wrócił na swoje stanowisko, ale nie miał już z kim rozmawiać. Stał wsparty ramionami o poczerniały płot, a z jego ust sterczała duławka(chyba fifka) z dymiącym papierosem. Gipsowy spojrział na niego, a potem podniósł się i zaczął szperać w kieszeniach wystrzępionych spodni. Wydobył spory jeszcze niedopałek i zapalki. Przypalił i znowu usiadł.

– Dasz się sztachnąć? – spytał go Szczurzy Pysk.

– Własnego knota wsadź sobie do mordy – odparł Gipsowy.

Podszedłem do rogu ulicy. Razem ze mną podszedł Leon. Z tyłu telepał się Szczurzy Pysk. Gipsowy został. Położył się na wznak i dymił jak parowóz.

Lufa Berty spoczywała równolegle do ziemi, a ponad nią unosił się dźwig. W jego uchwytych, kołysząc się, zawisł potężny pocisk. Dźwig drgnął i pocisk powoli zaczął zjeżdżać w dół. Jeszcze chwila a znikł i ramię dźwigu przesunęło się w bok.

– O, Jezu – zawodził Szczurzy Pysk – ale on wielki. Jak szafa.

– A coś ty myślał – powiedział Leon – że to kulka do karabinu?

– Taka gówniarzeria – darł się za naszymi plecami mężczyzna obserwator – a już pali!

– Weź się pan i utop – odkrzyknął Gipsowy – palę, bo tak mi się podoba!

Zawarczało, i ni stąd ni owąd, pojawił się motocykl z przyczepą. Błyskawicznie, może ze dwa kroki od nas, przemknął przez światło ulicy. Nagle kierowca zahamował, ale tak ostro, że motocyklem zarzuciło i wyłączył się silnik. Przyczepa była pusta tylko na tylnym siodełku siedział jeszcze jeden żołnierz.

– Pryskamy! – krzyknął Leon.

Nigdy chyba jeszcze tak szybko nie biegłem. Przed nami gnał Gipsowy lecz dogoniliśmy go nie wiadomo kiedy. Był w ciężkich i zbyt dużych sznurowanych trzewikach, my natomiast z Le-

onem byliśmy w sandałach zrobionych z opon samochodowych, a Szczurzy Pysk był boso. Zwolniliśmy trochę, bo nie chcieliśmy Gipsowego wyprzedzać. Tylko Szczurzy Pysk wyrwał się do przodu. Za nami wciąż była cisza. W tym momencie pękła Gipsowemu sznurówka i but spadł mu z nogi. Zatrzymaliśmy się. Szczurzy Pysk oddalał się coraz bardziej.

– Kusocińszczak z niego – wykrztusiłem.

– Za chude ma uszy jak na Kusocińszczaka – stwierdził Leon.

– Panowie, ale draka – zawołał Gipsowy.

Kłęczał na jednym kolanie, tyłem do nas i pracowicie przeciągał resztkę sznurowadła przez sfatygowane dziurki w bucie.

– Co jest, Gipsowy? – spytałem.

Nim zdążył nam odpowiedzieć i tak zorientowaliśmy się o co chodzi. Na końcu ulicy obok mężczyzny obserwatora stali dwaj niemieccy żołnierze, a ich motocykl stał nieopodal. Żołnierze gestykulowali, mężczyzna tkwił nieruchomo, a później, idąc wzdłuż płotu pokazywał im coś ręką. Gipsowy zawiązał but i podniósł się z kłęczek.

– Z gówniarzami tak zawsze.

– Prysnałeś pierwszy – powiedział Leon.

– Ja, ja? – zaperzył się Gipsowy.

Szczurzy Pysk, tak na oko oddalił się od nas przynajmniej z pięćdziesiąt metrów.

– Niezły motorek ma w nogach – zachichotał Gipsowy.

Wypadało zawołać go, lecz Szczurzy Pysk zatrzymał się i zaczął wracać. Chwilę milczeliśmy patrząc jak zbliża się do nas.

– Pojechali już – zawołał nagle Gipsowy – nie ma ich!

– Strachy na Lachy pojechały.

Szczurzy Pysk zbliżył się już na tyle, że widać było wyraźnie jego wykrzywioną złością twarz.

– Ty – krzyknąłem – gonił cię kto, czy co?

– Kocisko go jakieś goniło. A kto Szczurzego Pyska mógł gonić? – oświadczył Gipsowy.

Szczurzy Pysk był już przy nas, aż pobladł z tej złości.

- Nie nazywam się Szczurzy Pysk! Ziutek mam na imię!
- Dla mnie jesteś Szczurzy Pysk – powiedział Gipsowy – w sam raz ci to pasuje.
- Może mieć pseudo, Kusocińszczak – powiedział Leon.
- Nie chcę! – darł się Szczurzy Pysk. –Mówiłem już! Ziutek mi!
- Stul się! – przerwał mu Gipsowy i spytał – panowie, to co robimy?
- Ty Gipsowy pewnie byś zagrał w coś – powiedziałem – ale nie na sucho, tylko na moniaki. Cwaniak jesteś.
- Pieniądz rządzi światem – oświadczył nagłym basem Gipsowy – a my pieniądzem.

Ruszyliśmy przed siebie całą szerokością tej bocznej ulicy, ograniczonej po bokach płytkimi rowami, w których wciąż zieleńca się trawa. Nawierzchnia ulicy była szaroczarna, a ponad nią snuł się wątył zapach gumy. Dwa tłuste perszerony, zaprzęgnięte do wielkiej platformy z wysokimi burtami, wywoziły na ulicę osiedla żużel z fabrycznej kotłowni, a także różne odpadki gumowe, najczęściej nadlewy powstałe podczas wulkanizacji. W naszej fabryce robiono również akumulatory, więc wśród śmieci zdarzały się niekiedy resztki płyt, z których wykruszaliśmy wyschniętą pastę, zostawiając ołowianą kratkę. Z resztek tych, po przetopieniu, odlewaliśmy co się dało, ale najczęściej żołnierzy. Gipsowy odlał ich chyba setki. Parę miesięcy temu znalazł sobie jednak inne zajęcie. Związał się z chłopakami z kity, którzy zwalali z jadących towarówek węgiel. Był zbyt mały, aby wskoczyć na najniższej nawet umieszczony stopień wagonu. Zbierał więc tylko wzdłuż torów zrzucane z pociągów kęsy. Ale od kiedy wybuchło Powstanie był bezrobotny.

Od Grubej Berty dzielił już nas spory kawałek drogi, gdy znowu zakołysała się ziemia. Wydawało nam się, że ten huk rozlega się teraz w głębi naszych czaszek, że najpierw rozsadza je, potem ściga bolesną obręczą. Po chwili rozległ się świst, to świstał tak ten ogromny, wypchany trotylem pocisk, sunący w stronę Warszawy.

Ulica skończyła się i wyszliśmy na pole. Niewiele go było, splachetek tylko, do tego zryty gąsienicami czołgów. Przez to pole, porośnięte wysoko wybujalymi chwastami, prowadziły dwie ścieżki. Jedna do domów kolonii kolejowej, druga do widocznego już stąd placu targowego. Skręciliśmy w stronę targowiska i Gipsowy natychmiast przyśpieszył kroku.

– Śpieszy się jak do raju – odezwał się Leon.

– A może on tam co zgubił? – dodałem.

– Najpierw trzeba coś mieć.

– Gipsowy ma kredyt u Meinla. Figura z niego.

– Gipsowy ma – ocknął się Szczurzy Pysk – ale dwa białe, trzecie jak śnieg.

Gipsowy raptownie przystanął. Potem chwycił Szczurzego Pyska za coś, co kiedyś było swetrem.

– Wyładować ci w ryja? U mnie krótko. Nie podoba się, to w ryj!

– Zostaw go – powiedział Leon.

– Zostaw Ziutka, Gipsowy – powtórzyłem za Leonem.

– Co to nabojka – zaśmiał się – we dwóch na jednego?

– We trzech. Puszczaj go.

Stałem twarzą do niego, a Leon obchodzi go już z boku.

Gipsowy puścił Szczurzego Pyska.

– Pożartować chyba zawsze można? Humor nie zabroniony.

– Zmień kierunek, Gipsowy – powiedział Leon – nie w tym kierunku żartujesz.

– Ja do niego nic nie mam – odezwał się Szczurzy Pysk – ale niech mówi do mnie Ziutek.

Aż do targowiska szliśmy milcząc. Handlowano tu na różny sposób. W drewnianych budach, z rozłożonych na wprost na ziemi płacht, a także odbywała się sprzedaż naręczna. Powietrze wypełniał zgęstniały gwar, ludzie krążyli po całym placu. Handlarka mięsem, baba wysoka i chuda jak kij, nazwiskiem Ruczajowa, mamrotała zgrzytliwym półgłosem:

– Komu cielęcinę? Komu cielęcinę?

– Pani Ruczajowa – zawołał do niej Gipsowy – pies mi ostatnio zginął. Wie coś pani o tym?

– Huncwocie ty jeden – wrzasnęła Ruczajowa – wypluj zaraz te słowa!

– Rozumiemy się bez słów – odkrzyknął Gipsowy – po co tu słowa?

Ruczajowa krzyknęła jeszcze coś, lecz zagłuszył ją huk Berty. Od tego huk zadrzęsły się budy. Mało kto jednak zwrócił na to uwagę. Tutaj można było kupić i sprzedać wszystko. Żywność, ubrania, zegarki, pamiątki rodzinne i garnki. Walczono o byt, każdy dzień stawał się coraz bardziej trudny.

Na targowisku Gipsowy gdzieś się zapodział. Może stało się to wtedy, gdy bazar nagle zaczął pustoszeć. Gruchnęła bowiem wieść, że przy stacji kolejowej pojawili się żandarmi. Jednak my musieliśmy tam pójść, nasza dzielnica znajdowała się po drugiej stronie torów. Obaw nie było. Takich szczeniaków jak my nie zatrzymywano. Na tamtą stronę można było iść tunelem, albo przez przejazd z opuszczanymi szlabanami. Wejście do tunelu blokowali żandarmi. Ruszyliśmy więc do przejazdu. Szlabany były trochę podniesione. Tam również byli żandarmi. Dwóch miało pistolety maszynowe, a ten trzeci, karabin. Wokół stacji, nieco oddaleni, także stali żandarmi. Był kocioł.

Przy przejeździe tłum gęstniał. Żandarmi nie spieszyli się ze sprawdzaniem dokumentów.

– Żeby tylko nas puścili – niepokoił się Szczurzy Pysk.

– Puknij się w ten głupi kubek – odparł mu Leon – co ty warszawiak jesteś?

– Komm, komm – nawoływali leniwie żandarmi.

W pobliżu stał niezbyt wysoki mężczyzna w długiej, czarnej jesionce i w czarnym kapeluszu z dwoma tobołami przewieszonymi na pasku przez ramię. Była z nim tęga kobieta w palcie z futrzanym kołnierzem. Nikt poza nimi nie był tak ciepło ubrany. Spostrzegłem, że mężczyzna ten wcale nie stara się przesunąć do przodu, ale nieznacznie wycofuje się do tyłu. Ludzi jeszcze przy-

było. Większość puszczano dość szybko, kilka jednak osób odstawiono na bok, na niewielki, przystacyjny skwerek. Mężczyzna w czarnej jesionce znalazł się blisko nas. Tłumaczył coś tej kobiecie, ale ona kręciła tylko głową i cała się trzęsała. Raptem tłum się rozstał i tuż przy nich znalazł się ten żandarm, który miał karabin.

– Ausweis bitte – powiedział krótko.

Mężczyzna błyskawicznym ruchem zrzucił z pleców toboły, rozpiął jesionkę, wydobył plik papierów i wręczył je żandarmowi. Ten nawet do nich nie zajrzał. Nagle, wciąż trzymając dokumenty, strącił mężczyźnie kapelusz z głowy.

– Jude? – spytał.

– Nie! – krzyknął mężczyzna – nein! Jaki tam ze mnie Jude, panie oficerze?

Wyszarpnął spod koszuli zawieszony na grubym łańcuszku medalik.

– O! – zawołał znowu – proszę! Niech pan popatrzy. Pamiątkowy. Z Legionów Piłsudskiego. Na wojnę bolszewicką szedłem. Wtedy go dostałem.

W tłumie rozległ się czyjś śmiech, lecz on nie zrażony tym zwrócił się do stojącej przy nim kobiety, która wciąż trzęsała się tak, jakby miała w środku jakiś, trzęsący się mechanizm.

– Broniu, słyszysz mnie? I na co ty czekasz? Pokaż panu oficerowi ten krzyżyk. Po mojej mamusi masz go przecież. Broniu! No! Pośpiesz się! Pan oficer ma dużo pracy.

Z gardła kobiety wydobywał się głuchy, jednostajny jęk. Z jej ust strużkami ściekała ślina. Żandarm wolnym ruchem schował dokumenty do kieszeni. Mężczyzna nachylił się, chciał podnieść leżący na ziemi kapelusz. Niemiec zerwał z ramienia karabin i z dołu, na płask, uderzył go kolbą.

– Raus! – ryknął.

I popychając ich trzymanym oburącz karabinem pognął przed sobą. Podniosłem się na palce, żeby widzieć co z nimi robi. Wyprowodzi ich gdzieś i od razu stuknie, czy daruje im jeszcze tę

odrobinę życia. Ludzie mówili coś, szemrały słowa, na które nie zwracałem uwagi. Zdażyłem zobaczyć, że doszli już do skwerku i że żandarm nie prowadzi ich nigdzie dalej tylko ustawia osobno, w pewnej odległości od tych kilku osób, zatrzymanych wcześniej. W chwilę później ostry ból przeszył połowę mojej twarzy. Jak spod ziemi wyrósł obok mnie folksdojcz Wilhelm Ryba; chwycił mnie za ucho i trzymał w żelaznym uścisku. Z tego bólu skręciłem głowę i dostrzegłem, że Ryba drugą ręką chwycił Leona za kołnierz koszuli. Parę dni temu kradliśmy z jego ogrodu jabłka i choć wtedy nie daliśmy się mu złapać, musiał nas zapamiętać.

– Panie Ryba – zawołał ktoś – puść pan tych chłopaków! Co oni panu zrobili.

– Milczeć! – wrzasnął Ryba.

Przecisnęliśmy się przez tłum, poza którym byli tylko ci dwaj żandarmi, bo ten trzeci jeszcze nie wrócił. Ryba powiedział do nich parę słów po niemiecku, ci zarechotali i powlekli nas po kocich łbach przejazdu. Na sąsiedniej ulicy był posterunek policji granatowej. Pomyślałem, że tam nas prowadzi i zostaniemy zamknięci w areszcie. Pełen strachu zastanawiałem się jak możemy mu uciec, kiedy Ryba nagle puścił moje ucho i w ułamek sekundy później kopnął mnie. Poleciałem do przodu jak z procy i zwaliłem się na tory. Czułem, że mam rozbite kolano, a moje łokcie są zdarte do krwi. Nie zważając na ból podniosłem się i krok za krokiem zacząłem iść przed siebie. Usłyszałem tupot. Po chwili szedł obok mnie Leon, a w moment później doszłusował Szczyrzy Pysk. Leon splotował krwią. Żandarmi, którzy stali po drugiej stronie przejazdu byli już blisko. Nudzili się, bo od tamtej strony nie było widać, aby ktoś nadchodził. Też było ich trzech. Dwóch stało obok siebie, a jeden trochę z boku, oparty o słupek od szlabanu. Teraz było mi obojętne co będzie dalej. I tak ledwie szedłem. Ale oni nie zrobili nam już nic. Tylko ten, który opierał się o słupek, wycelował w nas palcem, krzyknął – paf! – zadarł nogę, po czym głośno, jakby mu w kiszce stolcowej rozerwał się granat, skaleczył powietrze.